

WYBITNE BARDZO DOBRE DOBRE ŚREDNIE SŁABE DNO



TEATR

Michał Centkowski poleca „Mapę i terytorium” w Teatrze Wybrzeże

Kto zabił Michela H.?

JAK PRZENIEŚĆ NA SCENĘ PEŁNĄ SMUTKU I ROZCZAROWANIA POWIEŚĆ O SAMOTNOŚCI I NUDZIE, BY TEJ NUDY UNIKNĄĆ? Jak ożywić na scenie bohaterów nieustannie przywdziewających maski, nie popadając w kabotyzm? Ewelinie Marciniak, z najważniejszą powieścią Michela Houellebecqa, ta sztuka się udaje. Przede wszystkim dlatego, że w gdańskiej „Mapie i terytorium” bardziej niż wierność adaptacji liczą się wrażenia, nastrój, „radosny impet negacji”. Przyjemność zanurzenia się w fikcji – oto nadrzędny cel spektaklu.

Przypominające półki skalne drewniane schody tworzą nieregularne pagórki, na których siadają widzowie i po których wspinają się bohaterowie. Katarzyna Borkowska zaprojektowała na scenie Teatru Wybrzeże wysmakowaną, minimalistyczną konstrukcję. W drugiej części, gdy widzowie zmieniają miejsca, wszystko staje się jasne. Ten abstrakcyjny, odrobinę niezmierny krajobraz tworzy składającą się z kolejnych warstw mapę. Wędrujemy więc wspólnie pomiędzy mapą i terytorium. Swobodna lektura powieści nie oznacza rezygnacji z fundamentalnych dla autora „Cząstek elementarnych” pytań o sens i granice sztuki, o prawdę i formę. Marciniak czyni je pytaniami o sens teatru. Podobnie jak Houellebecq wątpi w zbawczą moc sztuki, w swoje własne posłannictwo. A jednak przewrotny monolog marszanda i krytyka Franza Tellera (Jacek Labijak) brzmi trochę jak wyznanie wiary. A jeśli do szczęścia potrzebujemy właśnie życia twórczo przetworzonego i błyskotliwie udramatyzowanego? Może

bardziej niż sam świat interesuje nas opowieść o nim? – pyta widzów Teller.

Ktoś jednak tę artystyczną iluzję musi wprawić w ruch. Za każdą „artystyczną przygodą” kryje się armia bezimiennych attaché de presse – takich jak Marylin, zboląła, chuda pannica, w brawurowej interpretacji Magdaleny Boć. Nie tylko sztuka wymaga zresztą pracy. Ktoś musi przecież umyć te wszystkie kamienie, by przygotować scenerię dla romantycznej górskiej przygody Jeda i jego mieszczańskiej muzy Olgi (Katarzyna Dalek). Ze sceny obrywa się mocno tym znudzonym i uprzywilejowanym kolekcjonerom przedmiotów i wrażeń. Tym niezmiernie uwikłanym w społeczne konwenanse, przez egoizm skazanym na samotność Europejczykom. I w tej zjadliwej autoironii blisko jest reżyserce do Houellebecqa. Autentyczność doświadczeń i intensywność przeżyć czeka nas już tylko w fazie agonii poprzedzającej rozkład, a co za tym idzie triumf natury nad człowiekiem i cywilizacją.

MIMO WIZUALNEGO PIĘKNA I HIPNOTYZUJĄCEJ MUZYKI JUSTYNY ŚWIĘS I WOJTKA URBAŃSKIEGO ta opowieść mogła ugrzęznąć w niekończących się, chwilami pretensjonalnych rozważaniach. Gdyby nie prosty, choć ryzykowny zabieg. Każdy z bohaterów otrzymał swe dziecięce alter ego. Młodzi aktorzy świadomie, z dużą swobodą, chwilami bezlitośnie rozsadzają ramy widowiska, obnażając sztuczność konwencji. Mały Jed (Piotr Burdzela) dużo lepiej niż jego „dorosły” odpowiednik radzi sobie nie tylko z Olgą, ale i w relacjach z Ojcem, a smarkaty Hirst w wykonaniu Piotra Zamudio-Zeidlera dobrze wie, co tak naprawdę liczy się na „ryнку sztuki”. Młodzi bohaterowie wygrywają, bo jeszcze przez chwilę stać ich na szczerość. W poruszającej scenie improwizacji rysują swoje własne mapy, nie tak może piękne jak te z przewodników Michelina, fotografowane przez Jeda, za to niosące autentyczne znaczenia, prawdziwe i szczerze emocje. Wkrótce stracą niewinność, zostanie im to emerytowane szczęście gdzieś na sztucznej wyspie, o którym tak kusząco śpiewa Justyna Święś. **N**